

JULES CLARETIE.

Tajemniczy oskarżyciel.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

6 — Nie, ale ktoś znajomy, przyjaciel z naręgo, mógł znać kombinację, za pomocą której kasę tę się otwierało... Literę potrzebną. Wszystko jest możliwe, pan sam musi to przyznać, że wszystko jest możliwe, nieprawdaż, panie Montin?

W tych słowach sędziego, jedno tylko zelektryzowało Jerzego Montin: „przyjaciel”. Pan Ginory nawet z szczególnym naciskiem wymówił je. Montin podjął je natychmiast i zrozumiał, że było wymówione z jawną intencją, a może i groźbą. Zresztą już od pewnej chwili Montin odczuwał dziwne wrażenie. Zdawało mu się, że traci grunt pod nogami, jak człowiek tonący i pogrąża się w jakąś przepaść czarną i straszłą i czuje odrętwienie całego ciała, połączone z lękiem jakimś śmiertelnym.

Ginory zaś, siedzący naprzeciw niego, wręcz przeciwnego doznawał uczucia. Dumny był i zadowolony ze siebie, jak ktoś, który widzi cel swoich starań i zabiegów ujawniający się mu nagle i wyraźnie. Jakaś gorączka tryumfu opanowała go. Idąc za nieprzeczonym pragnieniem poszukiwania prawdy, byłby w tej chwili bezwzględnie i okrutnie sięgnął po nią własną ręką aż do serca człowieka, stojącego przed nim i cieszył się tą krwawą zdobyczą.

Przyjaciel! Jerzy Montin zastanawiał się nad tem słowem. Przyjaciel mógł wykorzystać zaufanie zmaltowanego i dostać się do kasy! Przecież takie znaczenie miały słowa sędziego! Ale kogóż miał na myśli, mówiąc to? Czy znanem mu już było nazwisko tego przyjaciela?

Montin, pomimo wielkiej mocy panowania nad sobą, uczuł gwałtowną potrzebę zażądania od sędziego wyjaśnienia tych słów. Ale wrażenie dziwne, wywołane tą rozmową i badaniem, wzmagало się. Zdawało mu się teraz, że traci świadomość własnego istnienia, że wielki przeciąg czasu minął, odkąd wstąpił w ten ponury i zimny budynek i że oddzielony jest od reszty świata jakąś zaporą nie do przebycia.

Czuł się pozatem jakby zahypnotyzowany przez tego człowieka, który przed chwilą jeszcze przemawiał do niego w grzeczny i wytworny sposób, a teraz przygrybiał go ostrym i zimnym wyrazem oczu.

Coś niepokojącego, jakgdyby przeczucie groźącego mu niebezpieczeństwa otaczało go i mimowoli, instynktownie śledził ruchy ręki sędziego, przyciskającego teraz guzik dzwonka elektrycznego, umieszczonego na biurku, w przekonaniu, że od tego giestu zależnem było jego życie.

Na dźwięk dzwonka wszedł wczny.

— Czy przywieziono notatki, które żądałem? — zapytał go pan Ginory.

— Pan Bernardet oddał mi je przed chwilą, panie sędzio.

— Proszę mi je dać. Czy Bernardet jest tu jeszcze?

— Tak, panie sędzio, chciałby bardzo widzieć się z panem sędzią.

— Przywołasz go później!

Jerzy Montin przypomniał sobie teraz małego człowieczka, z którym wiódł rozmowę podczas pochodu na cmentarz. Nie znał go, ale słyszał, jak się do niego zwracano po imieniu i to imię zapamiętał sobie.

Dlaczegoż obecność tego Bernardet'a zdawała się tak interesować sędziego?

Montin spoglądał uważnie na pana Ginory'ego. Miał on teraz twarz pochyloną nad otrzymanymi od woźnego papierami. Szerokie żyły uwydatniały się na jego okrągłym czole. Wiadomości zawarte w notatkach musiały być bardzo dla niego ciekawe, bo sędzia, widocznie zadowolony, od czasu do czasu rzucił różne wykrzykniki:

— Oh! Oh! Tak! Tak! Naturalnie! Doskonale!

I nagle Montin ujrzał jak Ginory uniósł szybko głowę i spoglądał na niego. Spojrzenie to było tak przenikliwe, że Montin zadrżał pod jego siłą. Zdawało się, że sięga ono do najgłębszych tajników jego duszy. Sędzia milczał chwilę, poczem rzucił nagle, tak, jakgdyby zaskoczyć chciał niespodzianie swojego przeciwnika:

— O ile widzę, pan jesteś graczem?

Na pytanie to gwałtowne, Montin aż drgnął na krześle. Graczem! Dlaczego ten człowiek pytał się, czy jest graczem? Cóż mógł mieć wspólnego z wyzaję jego, czy choćby namiętności, ze sprawą, dla której zawieszony został tutaj?

— Pan jesteś graczem — powtórzył już z prze-

konaniem pan Ginory, zaglądając do swoich notatek — Jeden z inspektorów policyjnych był świadkiem, jak pan stracił jednej nocy dwadzieścia pięć tysięcy franków w jednym z klubów tutejszych.

— To możliwe! — odparł spokojnie Montin — Ale sądzę, że najważniejszą rzeczą jest, że te pieniądze wypłaciłem.

— Doskonale! Ale pan nie jest majątnym człowiekiem. Niedawno jeszcze pożyczył pan od jakiegoś lichwiarza na giełdzie większą sumę pieniężną.

Twarz Jerzego Montin przyoblekła się w coraz większą bladłość, a wargi jego i ręce drżały nerwowo. Wzruszenie to jego nie uszło uwagi sędziego.

— Czy to z tych ciekawych papierów dowiedział się pan o tem wszystkim? — zapytał ironicznie.

— Tak jest! — odparł pan Ginory — Przez parę godzin postaraliśmy się dowiedzieć bliższych szczegółów o pana osobie. Całe życie pana jest nam już znane. Lubi pan zabawę i przyjemności. Widuję pana, pomimo jego wieku, proszę mi wybaczyć ten zwrot, ale konstatuję tylko fakt, w najweselszych miejscach Paryża. Życie łatwe jest najtrudniejsze dla tych, którzy nie mają majątku. I jak widzę z notatek, powtarzam raz jeszcze, pan nie jest majątnym człowiekiem, panie Montin. Zresztą o tem przekonamy się jeszcze później.

— To znaczy — przerwał nagle Jerzy Montin — że w przekonaniu pana sędziego mogłem łatwo, w celu dojścia do potrzebnych mi pieniędzy, zamordować przyjaciela i ograbić go?

Pan Ginory nie zdawał się być przejętym zachwałem, wyzywającym tonem, z jakim te słowa wypowiedziane zostały.

Spoglądał prosto w twarz mówiącemu i zakładając spokojnym ruchem ręce na rozłożonych przed nim notatkach, odezwał się poważnie:

— Panie Montin, gdzie chodzi o wykrycie zbrodni, urzędnik policyjny, łaknący prawdy, może przypuszczać wszystko i posądzać wszystkich. Muszę jednak przyznać, że w tym wypadku pan mi wcale mojego trudnego zadania nie ułatwia. Bo niech tylko pan się zastanowi. — Świadek wiarygodny zastaje pana sam na sam z ofiarą i spostrzega pana zmieszanie przy oglądaniu papierów wartościowych Rovera. Zapytuję pana, o co chodziło pomiędzy wami. Zbywa mnie pan milczeniem, a właściwie zasłania jakąś przysięgą i tajemnicą i za całe wyjaśnienie daje mi pan słowo honoru, że ta tajemnica niema nic wspólnego z dokonaną zbrodnią. Sam by mnie pan uznał za naiwnego, gdybym nie nalegał dalej i poprzestał na słowach pana. Chociaż nie odkryto włamania w mieszkaniu przy bulwarze Clichy, jednakże włamanie to mogło mieć miejsce, w ten lub inny sposób niespostrzeżenie przeprowadzone. Możliwem jest, że panu jest znana kombinacja zamku kasy, a równocześnie konstatuję wielki brak pieniędzy u pana. Przeprowadzone w tym kierunku dyskretnie śledztwo oświeciło mnie w tej mierze dostatecznie. Zapytuję pana, oznajmiam panu to, cośmy się o nim dowiedzieli, a pan unosi się i obraża. I niech pan dobrze się zastanowi: pan pierwszy w napadzie wściekłości wyrzeka słowa, z których nie wymówiłem jeszcze ani jednej sylaby. Pan pierwszy dochodzi do logicznej konkluzji tych różnych zestawień i podejrzeń, które słabe są jeszcze zapewne, ale które jednak istnieją. Tak jest, pan przecież mówi, że biorąc rzecz logicznie, można oskarżyć pana o zamordowanie człowieka, którego pan nazywa swiorn przyjaciele.

Pod wrażeniem słów sędziego twarz Jerzego Montin stawała się gniewna i zdumiona i im wolniej pan Ginory wymawiał słowa, zrećtnie i z pewnym planem ułożone, tem silniejsze odczuwał on uczucie wściekłości i bezsilnego niepokoju, które się ujawniały w nagłych rumieńcach twarzy i dzikich błyskach oczu świecących z namiętną siłą, pod łukiem brwi ściągniętych.

— Zresztą — podjął dalej pan Ginory ojcowiskim, przekonującym tonem — łatwo panu te wszystkie nagromadzone podejrzenia odepchnąć jednem słowem.

— Jakim? — szepnął Jerzy Montin.

— Wystarczy objaśnić mnie, o czem mówił pan z Roverem, podczas ostatniego widzenia się z nim.

— Ah! — zawołał oskarżony — więc powracamy znowu do tego punktu?

— Tak jest. powracamy do niego, bo w nim leży główne wyjaśnienie. Powiedział pan przed chwilą do sędziego śledczego, że jest pan posiadaczem pewnej tajemnicy, mówi pan o jakiejś trzeciej osobie interesowanej w tej sprawie, o wspomnieniach młodości i długich moralnych zaciągniętych wobec kogoś — i dziwi się pan, że ten sędzia żąda wyjaśnienia prawdy.

— Powiedziałem ją już panu.

— Prawdę całkowitą?

— Nie, ale ta reszta w niczem by panu nie pomogła do odkrycia, kim jest morderca Rovera, a zaszkodziłaby komuś, który do tej sprawy wcale nie jest wmięszanym. Powiedziałem już to raz panu.

— No więc tak — rzekł gniewnie pan Ginory. — Bawi się pan w zagadki. A więc ja, jako urzędnik sądowy, nie proszę już pana o wyjaśnienie mi tej prawdy, ale nakazuję panu mówić.

Rozmowa tych dwóch przeciwników dochodziła do kulminacyjnego punktu. Coś nieodwołalnego i tragicznego ważyło się w atmosferze tego zamkniętego pokoju. Jeden i drugi wyczuwał doskonale ten dziwny nastrój. W rozwartych szcrocko żenicach Jerzego Montin widoczna była obłędna, decydująca walka. Spoglądał od czasu do czasu na papiery rozłożone przed panem Ginorym z ogromnym niepokojem i wzruszeniem, zapytując się, co z ich treści wyniknąć może dla niego.

Po chwili przeciągnął ręką po czole, na którem perlily się duże krople potu i zachwiał się blizki omdlenia.

— Niech się pan uspokoi — rzekł sędzia, który zauważył jego zmieszanie. — Nie wymagam od pana rzeczy niemożliwej, a mam prawo wiedzieć o wszystkim.

Po dłuższej chwili zastanowienia, Jerzy Montin wyprostował się. Zdawało się, że chwilowa niemoc opuściła go zupełnie.

— Przysięgam panu, panie sędzio — wyrzekł stanowczym, pewnym głosem — że to, co mi mówił Rovere przy ostatnim widzeniu, nie może w niczem objaśnić policyi i proszę pana nie pytać mnie już więcej o to.

— Zawezwałem pana urzędownie do mówienia prawdy — odparł sędzia.

— A ja mówić nie będę, bo nie mogę.

— Ależ panie Montin! Proszę się zastanowić! Im dłużej waha się pan, tem więcej nadaje mi pan praw do sądenia, że chodzi o rzecz wielkiej wagi.

— Tak jest. Rzecz jest wielkiej wagi, ale nie należy do śledztwa, prowadzonego przez pana.

— Pan nie może nakreślać granic mojej władzy. Panie Montin, raz jeszcze nakazuję panu mówić.

— Nie mogę.

— Pan nie może?

— A więc nie chcę! — zawołał nagle Montin z odcieniem groźby i zuchwałości w głosie.

Szermierka słowna tych dwojga ludzi dobiegała do końca. Pan Ginory zaśmiał się nerwowo, a na twarz jego pełną wystąpił wyraz druzgocącej ironii.

— A więc sytuacja się wyjaśnia — rzekł powoli — pan mnie zmusza do wypełnienia jaknajspieszniej mojego obowiązku. Czy mnie pan rozumie, panie Montin?

— Doskonale — odparł tenże gwałtownie.

Widać było, że jest zdecydowany na wszystko, że gotów jest iść za cenę życia przeciw przeszkodzie, stojącej mu na drodze.

— I pomimo tego, że pan rozumie doskonale moje słowa, nie decyduje się pan mówić?

— Nie. Wszedłem tutaj jako świadek, nie mam sobie nic do zarzucenia, a odchodząc nie lękam się niczego. Może pan czynić, co się panu podoba.

— Mogę — odpowiedział sędzia, cedząc wolno słowa — zmienić rozkaz pojawienia się pana jako świadka — na rozkaz pozostania tutaj. Ale przedtem jeszcze chcę pana zapytać...

— To całkiem bezowocne — przerwał wyniośle Montin. — Ale pan się myli, panie sędzio! Ja mam być mordercą, według przekonania pana, mordercą mego przyjaciela? To absurd, dzieciństwo! Słyszysz pan?

— Niech mnie pan przekona, że przypuszczenie moje jest absurdem. Pan nie chce mówić.

— Powiedziałem panu już to wszystko, co mogłem — odparł niecierpliwie Montin.

— Ale pan mi nie wyjawiał tego, czego żądałem od pana.

— To jest moja tajemnica.

— Oczywiście! Doskonały system obrony wybrał pan sobie, ale banalny jest i za często spotykany. Używają go bez powodzenia wszyscy oskarżeni.

— Czy już należą do oskarżonych? — zapytał ironicznie Montin.

Pan Ginory milczeniem zbył to zapytanie, poczem wydobyl z szuflady biurka papiery jakieś, a właściwie ciemne, niewielkie kartki. Ujął je w palce i podsunął pod oczy Jerzego Montin.

Montin nie zrozumiał tego ruchu. Patrzył ze zdziwieniem na sędziego, nie wiedząc, co to ma znaczyć.

— Czy zechce pan przyjrzeć się dobrze tym kliszom? — zapytał sędzia, podając je przeciwnikowi.

Jerzy Montin wziął je i rozłożył na stole.

— Co to jest? — zapytał.